

## Fotografie Lublina

W roku 1964, w dwudziestolecie wyzwolenia postanowiono zorganizować w Lublinie wystawę fotografii naszego miasta z 1944. Zadanie w praktyce okazało się trudniejsze niż w zamiarach. Zdjęć prezentujących Lublin z pierwszych dni wolności, Lublin stołeczny, przyfrontowy, prawie nie było. Ktoś tam miał fotkę z żałobnego nabożeństwa ku czci pomordowanych na Zamku, ktoś wejście oddziałów Wojska Polskiego na Krakowskim Przedmieściu, ktoś pamiątkowe zdjęcie z radziecką dziewczyną - sierżantem, regulującą ruch na Placu Łokietka...

Zdjęcia przedstawiały niski poziom techniczny, różniły się od siebie stylem i podejściem do fotografowanych obiektów, a mały format uniemożliwiał zrobienie obecnie dużych reprodukcji. W dodatku zachowały się na ogół zdjęcia, a nie błony. Przede wszystkim było ich mało i nie odzwierciedlały dostatecznie atmosfery Lublina z tamtego okresu.

A jednak wystawa „Lublin 1944” się odbyła. Stała na znakomitym poziomie, była w mieście sensacją. Zdjęć dostarczył radziecki fotoreporter, Michał Trachman, który w latach wojny był fotokorespondentem prasy radzieckiej i w tym charakterze przebywał w Lublinie w lipcu i sierpniu 1944. Trachman przechował wszystkie swoje filmy z tamtych dni, a teraz porobił z nich odbitki, wykorzystując już nowoczesną obróbkę laboratoryjną. Na wystawie znalazły się więc zdjęcia wielkiego formatu, błyszczące bromy, takie, jakie widzi się dziś na wszystkich wystawach fotograficznych na świecie, tyle, że przedstawiające zdarzenia sprzed 20 lat. Zdjęcia te obieły zresztą też całą prasę polską, reprodukowane były za granicą, a zebrane w album Wydawnictwa Lubelskiego są koronnym zbiorem ilustracyjnym wolnego Lublina 1944.

Przypominam to wydarzenie dla zobrazowania sytuacji współczesnej fotografii lubelskiej. Aparatów fotograficznych jest o wiele więcej niż w roku 1944. Stały się one obecnie sprzętem powszechnego użytku. Przeważają aparaty wysokiej, lub średniej klasy. Zaopatrzenie w filmy, papiery i chemikalia - różne, na ogół jednak jest na czym pracować. W fotografii, jak w każdej innej dziedzinie sztuki wzrost ilościowy nie oznacza jednak automatycznego wzrostu jakości. Przeciętny fotoamator dysponując lepszym, niż dawniej sprzętem i surowcem, robi lepsze technicznie zdjęcia. Tematyka ich pozostaje ta sama, co dawniej: na plaży, na molo, na nartach, na Krupówkach, na tle zabytkowych budowli. Oglądamy przecież masowo takie zdjęcia, pokazywane nam przez znajomych. Do tego dochodzą jeszcze zdjęcia ekstraordinaryjne: „O, tu ja, a ten pan,

który mnie całuje, to naczelnik mego męża. Wypiliśmy wtedy trochę, naczelnik chciał się ze mną sfotografować, a mąż jest człowiekiem nowoczesnym, jak robił zdjęcie to powiedział, żebyśmy dali sobie buzi”.

Przeciętny fotoamator robi głównie zdjęcia - pamiątki rodzinne starając się naśladować fotoreportaż z życia wyższych sfer, zamieszczane w tygodnikach ilustrowanych. Zresztą zapotrzebowanie szerszej publiczności na takie zdjęcia zawsze było duże. W tym względzie zmieniło się jedynie to, że dawniej fotografowano się na tle płótna z malunkiem pałacu, alei różanej i baseniku z łabędziem, a dziś na tle autentycznych pałaców, oglądanych przy okazji wycieczek autokarami rady zakładowej, czy innych wyjazdów. Są to zdjęcia „ładne”. Ludzie na nich wymuskani, wyprostowani, sztywno wypięci i nieruchomo patrzący w obiektyw, lub też mile uśmiechnięci, ale zawsze zadbani, eleganccy.

Proszę mi jednak pokazać, ilu posiadaczy luksusowych nawet aparatów fotograficznych ma zdjęcia swego ojca przy warsztacie, za kierownicą ciężarówki, czy trolejbusu, usmolonego, ze zmęczonym pracą obliczem? Lub matkę, czy żonę obierającą ziemniaki, piorącą, przewijającą niemowlę, czy też oddającą się innym prozaicznym zajęciom? Wielu posiadaczy aparatów jeździ na urlopy, czy na niedzielę do swoich rodzinnych wsi i przywozi stamtąd zdjęcia własnych dzieci na „łonie natury”. A ilu mogłoby się wykazać serwisem fotograficznym pokazującym skrótowo życie tej wsi, z jej blaskami i cieniami, resztkami słomianych strzech i nowoczesnymi maszynami rolniczymi?

Nie, na fotoamatorów nie bardzo możemy liczyć. Nie utrwałą na celuloidzie i papierze współczesnego życia w jego różnych wymiarach. Nie utrwałą nawet pełni życia swoich najbliższych - poza tymi właśnie zdjęciami pamiątkowymi. Powinniśmy się zwrócić zatem w kierunku tych, dla których fotografia jest czymś więcej niż zabawą. Ale do kogo? Do zawodowców?

Rzemieślnicy - fotografowie wykonują takie prace, jakie zamawiają klienci. Czyli głównie portrety. Na nich więc też nie ma co liczyć.

W Lublinie istnieje oddział Centralnej Agencji Fotograficznej, zatrudniający kilku fotoreporterów. Powstanie przed kilku laty oddziału, kosztem likwidacji fotoreporterów własnych prasy lubelskiej, miało na celu pewne efekty organizacyjne i ekonomiczne. Merytorycznie i artystycznie nic się nie zmieniło, może nawet trochę pogorszyło, gdyż odpadł element współzawodnictwa pomiędzy mistrzami kamery ze „Sztandaru” i „Kuriera”. Niemniej faktem jest, że zdjęcia kolegów z CAF reprezentują odpowiedni poziom artystyczny i techniczny, a także mają wysokie walory społeczne dzięki swej rejestracji życia na gorąco. CAF prowadzi starannie archiwum fotograficzne, jakiego nie mieliśmy poprzednio w Lublinie. Jednakże los reportera jest taki, że rano fotografuje żniwa, w południe zawody sportowe, czy wypadek drogowy, a wieczorem premierę w teatrze. Obserwacje jego są więc wycinkowe, nie pogłębiane. Nie mają charakteru

syntezy. Fotoreporter nie może sobie bowiem pozwolić np. na to, by przez kwartał czy dłużej zajmować się jednym tematem. Nie ma na to czasu.

Jedyną grupą ludzi z kamerą, których stać na dłuższe skoncentrowanie się nad określonym celem, są artyści fotograficy. Mamy w mieście jedyne tylko fotografika zawodowego, ale za to mamy kilkudziesięciu fotografików - amatorów zrzeszonych w stowarzyszeniach i klubach. To są właśnie ci ludzie, którzy mogą w skondensowanej formie utrwalić na błonie fotograficznej współczesny Lublin, taki jaki on jest: ruch na ulicach, ludzi budujących samochody, wznoszących domy i brukujących ulice. Ludzi, którzy się uczą. Lublin, który wypoczywa i który bawi się. Blaski i cienie. Dziewczęta trenujące w pocie czoła na stadionach i facetów stojących pod kioskami z piwem, czy też szturmujących wieczorem drzwi „Europy”. Zakochanych i kłócących się. Ostatnie dorożki i pierwsze maszyny liczące. Itd., itd. Ale - stop - przerwijmy te nieżyłowe marzenia.

Jesienią ubiegłego roku odbyła się w klubie EMPiK wystawa pt. „Fotografia Lublina” . Przegląd osiągnięć naszych fotografików - amatorów. Była to wystawa technicznie dobra, tematycznie żenująco kiepska. Trochę staromiejskich zaułków, tych samych co do lat, tylko w nieco innym ujęciu. Kilka fragmentów nowych dzielnic mieszkaniowych i to fragmentów już ogranych. Gdyby chcieć na podstawie tylko tych zdjęć powiedzieć coś o Lublinie - nie można by wiele. Gdyby chciano za 20 lat przypomnieć Lublin z 1969 roku to wystawa nie przypominałaby go. A przecież ponoć pokazano wszystko, najlepsze, czym dysponowali nasi fotograficy.

Na dyskusji po otwarciu wystawy, fotograficy przyznawali, że w ich pracach nie ma współczesnego, żywego Lublina. Ale jak robić takie zdjęcia? Kto ich wpuści np. do zakładów pracy? No i gdzie wystawiać? Salony BWA przy ul. Narutowicza 4 są zajęte przez plastyków, a klub EMPiK, choć życzliwy fotografii, nie jest w stanie eksponować jej zbyt często.

Okazuje się, że nie wszystkie możliwości wystawowe są wykorzystane. Nowe salony "Gracji" (przy Krakowskim Przedmieściu 72) mogą służyć nie tylko do wystawiania wyrobów krawieckich, ale i do jednoczesnej ekspozycji dzieł sztuki. Byłem jednym z tych, którzy prowadzili w tej sprawie rozmowy z dyrektorem "Gracji". Przedsiębiorstwo nie tylko zgodziło się, ale jeszcze ogłosiło konkurs zamknięty dla członków lubelskich towarzystw fotograficznych pt. „Gracja w obiektywie”, z wysokimi nagrodami pieniężnymi. Niestety, tylko kilku lubelskich fotografików wzięło w nim udział (choć nadesłane prace, zwłaszcza W. Wróblewskiego miały dużą wartość). Fotoklub - Zamek, w odpowiedzi na zaproszenie odpisał, że z powodu nawału pracy żaden z jego członków nie jest w stanie wziąć udziału w konkursie. A więc fotograficy lubelscy skarżą się na brak możliwości działania, niedostrzeganie ich, jednocześnie zaś nie wykorzystują szans, jakie istnieją. W niejednym przedsiębiorstwie rada zakładowa byłaby w stanie przeznaczyć parę tysięcy na podobny konkurs. Sam wiem o kilku takich zakładach. Lecz czy warto organizować konkursy, dawać amatorom możliwości finansowe jak zawodowcom, jeśli oni zignorują te możliwości? Jeśli nad sztukę, która byłaby odpowiedzią na zapotrzebowanie społeczne miasta, przekładają

poszukiwania formalnie, sztukę dla sztuki?

Zdaję sobie sprawę z wartości i ważności prób nowych rozwiązań warsztatowych i nie potępiam ich bynajmniej. Ale nie mogą one być celem samym w sobie.

Na naszych oczach zmienia się miasto. Zniknęła już prawie zupełnie stara Kalinowszczyzna. Stary Kośminek ma ustąpić miejsca nowemu. Z klasycznego targowiska "ciuchów" na Podzamczu pozostały resztki. Kilkupiętrowe bloki wyrastają na miejscu ostatnich dworców przy ulicy Narutowicza. Odchodzą ludzie. Dziś już nikt nie zrobi wielkiego reportażu fotograficznego o Konradzie Bielskim. Lubelscy fotograficy koncentrują swą uwagę na grze światła i cieni, fakturze cegieł, czy kobiecych aktach. Być może, są to drogi do sukcesu na światową skalę - z tym, że na świecie fotografowaniem aktów zajmują się pewnie setki tysięcy osób.

Jeśli w przyszłości ktoś zechce zorganizować wystawę fotograficzną „Lublin 1970” stanie przed zadaniem niewiele łatwiejszym niż organizatorzy wystawy w roku 1964. A czy obraz Lublina naszych dni nie jest wart utrwalenia, dla nas samych i dla potomnych?